

o zamieszanie w kancelaryi, wzajemne podejrzanie i wykanie im i czytelnikom, jak dalece spisek jest rozgałęziony i jak wysoko sięga nawet w biurokracyi.

— Byłbym tego samego zdania — potwierdził Komar, co i inni uznali — a dużo macie papieru, Buczku?

— Dostarczono mi na dziesięć tysięcy egzemplarzy... formatu quarto, po pół arkusza druku.

— Towarzyszu Sikora — odezwał się Kozak — kiedy, wasz-m zdaniem, wyjdzie numer?

— Hm... cztery kolumny, druk drobny... zecerów jakby nie było, bo to pierwszaki... spodziewam się, że przez jutro czyli wtorek, środa, czwartek złożę się. Wieczorem puszcza na maszynę... w sobotę do południa na pewno skończymy.

— Czy nie za dużo czasu? — zrobił uwagę Komar.

— Liczcie, że muszę być w domu przed jedenastą, bo nie mogę zwracać uwagi stróżów i u siebie na Celnej, zostaje na robotę dwie godziny i coś więcej, a pomóc chęć na, ale niezręczna.

— Dobrze... zatem w piątek można będzie zacząć ekspedycję na Warszawę, towarzysze Rzeszoto i Płuczka obiecali się tem zająć — mówił Kozak — sam układ i tytuł zostawmy Buczkowi i Sikorze. Sprawę gazety uważam za wyczerpaną, nieprawdaż towarzysze?

Kwestya wojny, jak zwykle, poruszyła nadzieje, plany, spory. Zaczęli rozmawiać z ożywieniem, tylko Kozak wziął na bok towarzysza Skale, który prowadził wykaz organizacyi i kasy i poczęli omawiać szczegóły.

Gospodarz poprosił wkrótce zebranych do stołu, do wspólnej, składkowej kolacyi.

### XIII.

Żalecki i Walczak od wczesnego ranka zajęli się urządzeniem drukarni, o tyle o ile, pod względem higieny i porządku.

Bo ek, zdjawszy ramę ze szybami z okna piwnicy, umocowywał rurę wentylatora, który miał odprowadzać gorące od lamp i stęchłe z wilgoci, powietrze na zewnątrz, poprzez kratę okienka.

Stach zajął się porządkiem wewnętrznym, urządził rodzaj garderoby zasłoniętej, gdzie ustawił umywalkę, dzbanek z wodą i kubek. Udeptywał zwilgotniałą ziemię przed kasztami, a widząc bezskuteczność, rozbił jedną pakę i tę część ziemi, na której stoi zecer, nakrył deskami.

Żalecki często spoglądał na zegarek, a widząc, że przychodzi czas spotkania Olgi, rzekł:

— Słuchaj, Stachu. Idę teraz po Olge, ty zgaś lampę, zamknij piwnicę i pobiegij po wędliny i chleb. Musimy robić honory drukarni naszej, a każ dać sobie dosyć, bo po pracy smakuje. Masz swoje?... To zapłać, porachujemy się.

Nie czekał zbyt długo i przywitawszy się, idąc w kierunku Piekarskiej, mówił do Olgi:

— Kamienica jest na rogu Celnej i Brzozowej. Możecie, Olgo, iść przez Bugaj, albo Miodową i Kapitulną, albo jak teraz idziemy, Piekarską... zresztą kupcie sobie plan Warszawy i zbadajcie sprawę. W każdym razie nie wracajcie tą samą drogą i dzień po dniu nie idźcie temi samymi drogami.

— Dobrze, już dobrze... cóż było wczoraj?

— Powzięto uchwałę w sprawie propozycji rosyjskiej partii i Bundu.

— Możecie mi powiedzieć?

Zawiadomił ją a kończąc:

— Wasze dokumenta zrobiły wielkie wrażenie, wszyscy podziwiali i uradzono, że takie dwa ananasy za wiele na jeden numer. Jedną tajemnicę ogłosimy w tym numerze, drugą w następnym.

— Czy może wymieniliście mnie? — spytała zaniepokojona.

— Cóż znowu? Określiłem ogólnikowo słowem „ktoś“, może tylko jeden Komar domyśla się, ale ten umie milczeć. A macie te papiery?

— Naturalnie.

— Czy zanotowaliście numer aktu? i datę?

— Od czegoż jestem córką urzędnika — zaśmiała się wesoło — a tytuł gazety?

— „Wolność!“ A teraz, Olgo, uwaga! Oto dom... wejście od Brzozowej... Wchodźcie i idźciecie długą sklepioną sienią, wchodźcie na przyćmione, brudne podwórko i wchodźcie do szerszej sieni, zaraz na prawo jest wejście na schody piętrowe i do kurytarza parterowego. W kurytarzu, ostatnie drzwi na lewo, mieszkanie Jana Pasty, rysownika fabrycznego — skłonił się nisko przed Olgą.

— Jakto? wy Janem Pastą?

— Mogę wylegitymować się nrzędowym paszportem, najformalniejszym, wydanym przez wydział... P. P. S.

— Rozumiem... zatem ostatnie drzwi na lewo? — O ile wiem, mówiłem po polsku, a może użyłem innego języka? — uniewinniał się.

— Bolku, miejcie szacunek, jeśli nie dla tej kamienicy, to dla drukarni i nie żartujcie.

— Idę już, idę z głębokim szacunkiem, a wy, jak przysiało cnotliwej niewieście, idźcie śladem męża... ale za kilka minut... do widzenia, Olgo.

Patrzała za nim uśmiechnięta, rozweselona, zakochana.

Gdy weszła, po przywitaniu się ze Stachem, obejrzała ciekawie pokój, doszukując się kaszt i maszyny.

— Gdzież drukarnia?

— My, koleżanko Olgo, mamy dwa apartamenty, nas stać na to... jeden na przyjęcie gości i zasłużony spoczynek, a drugi na pracownię.

— Gdzie?

— W dole... w piwnicy — objaśnił Stach — powalacie jasną sukienkę.

— Będę uważała...

— Zanim pójdziemy, musimy wpierw ustalić układ pisma, bo wprowadzić upoważniono towarzy-

— Posłuchajcie... dajmy czterowiersz z „Czerwonego Sztandaru“:

„Krew naszą długo leją katy,  
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy;  
Nadejdzie jednak dzień zapłaty  
Sędziom wówczas będziem my!“

— Wspaniale poradziłeś, Stachu! — zawołał rozpromieniony Bolek — ten wiersz jest uzupełnieniem tytułu. Czy nie tak, Olgo?

Walczak spojrzął na boje trochę zdziwiony tą poufałością i uśmiechnął się ironicznie. Względem niego jest tak surowy, a sam romansuje z Olgą... dwie miary. Lecz wkrótce odrzucił podejrzenie, bo pewno oni kochają się, jak on z Heleną i są nieszczęśliwi, że nie mogą połączyć się ze sobą. Czy jednak są nieszczęśliwi? Ona taka rozpromieniona, żartuje, śmieje się a on ma żarty na ustach. Ich miłość musi być albo mniejsza, albo też inna.

Żalecki wykończył tytuł gazety, umieściwszy dwa wiersze z jednej, a dwa wiersze z drugiej i zawołał:

— Czy nie piękny tytuł?!

— Bardzo piękny.... ale chodźmy do drukarni. Zostawię tu mój kapelusz.

— O nie! — powstrzymał ją Bolek. — Do Jana Pasty może przyjsz rewizya, a do drukarni niekoniecznie trafi, po cóż zostawiać ślad za sobą?

— Tak, to słuszną uwagę — potwierdził Stach — a teraz idźcie sobie do drukarni, ja nie mam tam co robić. Pójde na reporterkę, Bolku.

— Dobrze, Stachu.. klucz w umówionem miejscu.

Zaprowadził Olge, zachowując ostrożność, aby ktoś nie doszedł, na kurytarz piwniczny, a gdy zapalił lampę, doznał oczekiwanej przyjemności, że Olga była mile zdziwiona urządzeniem i porządkiem.

— Tu mamy garderobę, nawet z lusterkiem dla was, Olgo... tu na pakach można doskonale wypożyczyć... a wentylator mego wynalazku.

— Podziwiam... — ale czas do roboty... jakąż szkoda, że nie wzięłam fartuszka!

— Przeczulem to.... i kupiłem dwa, dla was i dla siebie.

— Pamiętaliście o mnie? — uśmiechnęła się.

— Jak zwykle, jak zawsze... A rękopismów niema?!

— Przyniosłam, bo przeczulałam, że zapomnicie — zaśmiała się, podając mu papiery.

— Już przetłumaczono?! — i czytał z zajęciem, a gdy skończył — rozdzielimy ten o unitach na dwie części równe i kto skończy pierwszy?

— Zgoda — a widząc, że przystępuje do kaszty — nie wolno! Zaczekajcie na mnie! Muszę fartuch włożyć.

— I ja także, a oczyma nie składa się, Olgo, tylko rękami. Sądziłem, że tyle przynajmniej skorzystaliście z lekcji.

— Ile skorzystałam... przyszłość pokaże. Cóż tak guzdrzecie się? Do roboty!

I stanęła przy kaszcie w wielkim fartuchu niebieskim, z zakasanymi po łokcie rękawami i poczęła składać.

Jakis czas pracowali w milczeniu, wreszcie odezwał się Bolek:

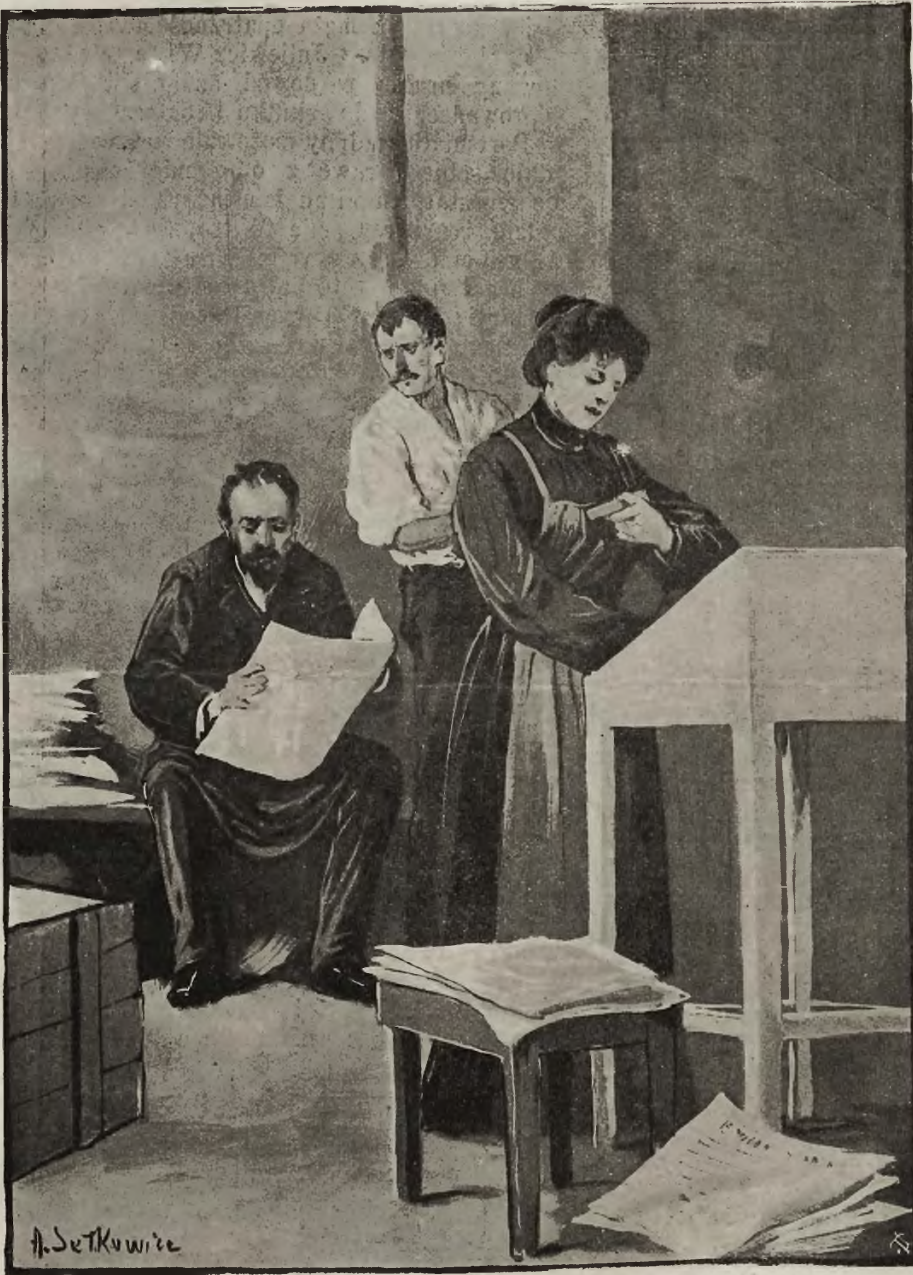
— Proszę o głos!

Olga z poważną miną pracowała w dalszym ciągu.

— Proszę o głos w sprawie formalnej!

Uśmiechnęła się, lecz nie przerywała roboty.

— Proszę o głos w sprawie nagłej! C. d. n.



...I stanęła przy kaszcie w wielkim fartuchu niebieskim, z zakasanymi po łokcie rękawami i poczęła składać.

sza Sikorę i mnie do układu pisma, ale Sikora rzekł się współdziału. Siadajcie, koleżanko... uważaj Stachu...

Zbliżyli się oboje do stolika, a Bolek wziął arkusz in quarto, formatu przyszłej gazety i mówił, rysując i pisząc:

— Zatem u góry numer, z drugiej strony data. Tytuł „Wolność“ w cienkich ramkach; następnie kolumna na dwie szpalty i artykuły. Czy dobrze?

— Ta „Wolność“, Bolku, wyskakuje z tła, raz... nie uważacie, koleżanko?

— Może wyda się tytuł lepszym, gdy będą większe litery?

— To są nasze największe — powiedział Żalecki — innych nie mamy.

— A może tytuł wam się nie podoba, kolego? — spytała Olga.

— Nie... tytuł dobry, ale czegoś brakuje.

— A gdyby dodać motto jakiegoś? — przemówiła Olga po chwili.

— Motto, dobra myśl — zawołał Żalecki — bo tytuł oprze się na czymś, ale jakie motto wybrać?